

JAN GRABOWSKI

Warszawa, 30 stycznia 1946 r. Sędzia Halina Wereńko delegowana do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrała przysięgę na podstawie art. 109 kpk. Świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Jan Grabowski
Data urodzenia	25 stycznia 1911 r.
Imiona rodziców	Franciszek i Franciszka z Piórkowskich
Zajęcie	handlujący
Wykształcenie	pięć klas szkoły powszechnej
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	[...]
Karalność	niekarany

W czasie Powstania Warszawskiego mieszkiałem w Warszawie przy ul. Wolskiej 123. Dom był duży, ok. 50 lokali. Od początku powstania na ulicy w okolicy naszego domu nie było walk. Słychać było strzały i czołgi niemieckie przejeżdżały ulicą i ostrzeliwały domy i ludzi, o ile ktoś się pokazał.

5 sierpnia między godz. 10.00 a 11.00 wpadło na podwórze naszego domu ok. stu żandarmów niemieckich, ustawili się szpalerem od podwórza na Wolskiej aż do kuźni, która mieściła się w głębi, pod numerem 124, prawie naprzeciwko naszego domu. Wszyscy byli uzbrojeni, mieli ręczne karabiny maszynowe i karabiny z bagnetami, a także granaty.

Na podwórzu wołali, by wychodzić z domu. Wyszli mężczyźni, kobiety i dzieci i wszyscy zostali spędzeni na plac obok kuźni. Ja wyszedłem razem z żoną Franciszką Grabowską (lat 33), córką Ireną (lat 4) i synem Zdzisławem-Jerzym (5 miesięcy).

Na placu przed kuźnią padł rozkaz, by się wszyscy położyli na ziemi. Grupa z naszego domu liczyła ok. 500 osób. W chwili, gdy ja z rodziną dobiegłem przed kuźnię, na placu już leżeli ludzie.

Czy byli to mieszkańcy naszego domu, czy innych budynków, tego nie wiem.

Gdy już leżałem, zobaczyłem, iż jest ustawiony na podstawie karabin maszynowy na placu po spalonym domu, w odległości ok. pięć do dziesięciu metrów od leżących ludzi. W pewnej chwili Niemcy zaczęli strzelać z karabinu maszynowego i z karabinów ręcznych, a także rzucać granaty w tłum leżących. Po jakimś niedługim czasie strzelanina ustała, zobaczyłem, iż Niemcy przypędzili nową grupę, słyszałem, iż jakaś kobieta spośród przypędzonych spytała, „z którego domu jesteście?“, ale nie słyszałem odpowiedzi i nie wiem, z jakiego domu mieszkańcy zostali przypędzeni.

Ile osób zawierała grupa przypędzona, nie zauważyłem.

Ludzie ci położyli się na placu i na nowo rozpoczęła się strzelanina, która trwała – z przerwami na dobijanie poruszających się – co najmniej sześć godzin. Po mnie trzy razy żandarm przeszedł się butami, sam ranny nie byłem, ale żona i dzieci zostały zamordowane. Słyszałem, jak żandarm mówił, by zabić mego pięciomiesięcznego synka, który płakał, po czym usłyszałem strzał i dziecko ucichło.

Widziałem, iż zostali zamordowani: Stachura Wacław – dozorca domu, gdzie mieszkałem, i lokatorzy – akuszerka Michałowska, Keller (kobieta), Pawłowska, Kulesza – właściciel mydlarni. Więcej znajomych nie zauważyłem. Ja, leżąc, udawałem zabitego.

Po jakimś czasie strzelanina ustała, pojedynczy żandarmi chodzili między leżącymi i dobijali jeszcze żyjących. Jak już zauważyłem, po mnie trzy razy przeszedł żandarm. Potem słyszałem rozmowę po polsku, myślałem, że żandarmi już odeszli, jednakże zorientowałem się, iż są to Polacy, robotnicy przypędzeni przez Niemców, zabierają walizki i tłumoczki pomordowanych.

Po pewnym czasie ta sama partia robotników wróciła, by zbierać trupy, za nimi szli żandarmi i wciąż dobijali ludzi, którzy się poruszyli lub w inny sposób okazali, że żyją. Potem

usłyszałem, iż robotnicy polscy wołają, by – kto jeszcze żyje – wstał, że już nie będzie zabity, że przyjechał jakiś Niemiec i przywiózł taki rozkaz. Ja nie uwierzyłem wezwaniu i leżałem nadal, do chwili, gdy robotnicy noszący ciała przyszli, by i mnie zabrać. Wtedy wstałem, wziąłem razem z robotnikami trupa do niesienia i robiłem to aż do zakończenia roboty.

Trupy nosiliśmy na dwie kupy, do zmroku. Jeden stos miał długości ok. 20 m, drugi 15 m, szerokości ok. 10 m, wysokości do 1,5 m. (tak wysoko, jak można było wrzucić ciało). Po odjeździe Niemca, który podobno przywiózł rozkaz, by zaprzestać mordowania Polaków, gdy ja nosiłem zwłoki, w dalszym ciągu za robotnikami noszącymi ciała chodzili żandarmi i dobijali jeszcze żyjących.

O zmroku partię robotników noszących trupy, do której się przyłączyłem, żandarmi poprowadzili na ul. Elekcyjną pod park Sowińskiego, gdzie było jeszcze więcej zwłok niż przed kuźnią, myślę, że mogło być co najmniej dwa tysiące. Wśród trupów poznałem administratora domu Hankiewicza przy ul. Wolskiej 129.

Później w 1945 r. ktoś mi mówił, iż pod parkiem Sowińskiego byli rozstrzelani mieszkańcy domu Hankiewicza, a także z ul. Elekcyjnej, z domu zwanego Cegielnia, na rogu ul. Wolskiej i Elekcyjnej. Pod tym domem, gdy nosiłem zwłoki, widziałem, iż niektóre z nich były już spalone. Ciała nosiliśmy do parku Sowińskiego na dwie kupy. Pracowaliśmy do ciemnej nocy, lecz nie zdążyliśmy skończyć roboty. Stąd zostaliśmy piątkami odprowadzeni do kościoła św. Wawrzyńca, gdzie zostaliśmy całą noc.

Nazajutrz żandarm zawołał, by 20 osób zgłosiło się na ochotnika do ukończenia znoszenia zwłok w parku Sowińskiego. Poszedłem z innymi, chcąc zobaczyć jeszcze swoją rodzinę. Praca przy noszeniu zwłok zabrała nam trzy godziny. Stosy w parku Sowińskiego były wysokości 1,5 m i stanowiły raczej koła o średnicy 25 m mniej więcej.

Palenia zwłok nie widziałem.

Po powrocie do Warszawy w 1945 r. widziałem na tych miejscach ślady paleniska i kości. Obecnie w parku w jednym miejscu są zakopane.

Po skończeniu noszenia zwłok w parku Sowińskiego naszą grupę znów zaprowadzono do kościoła św. Wawrzyńca. Stąd 6 sierpnia wieczorem odstawiono nas pieszo do obozu przejściowego w Pruszkowie, a następnie do Wrocławia.

5 sierpnia wieczorem w kościele św. Wawrzyńca spotkałem trzech lokatorów naszego domu: Wituską Elżbietę (zam. obecnie ul. Chłodna 41 m. 32), Helenę Selingową, zatrudnioną w biurze kolejowym przy ul. Armatniej, trzeciej kobiety nazwiska i adresu nie znam. Wszystkie one były w czasie egzekucji przed kuźnią, przy czym – jak mi mówiła Wituska – wstały na wezwanie, by kto jeszcze żyje, podnosił się, ponieważ Polacy nie będą już zabijani.

Protokół odczytano.

Dodatkowo zeznaję, iż z Wrocławia zostałem skierowany razem z partią 160 Polaków do pracy przy okopach w tzw. Rudolfsdorf, gdzie przebywałem do 20 stycznia 1945 r. W lagrze zdarzyło się, iż jeden z robotników odszedł od pracy gdzieś na wieś. Jako karę Niemcy zastosowali bicie. Wybrali dwóch innych robotników Polaków, którym kazali bić winowajcę, a ponieważ ci dwaj bili podobno za słabo, Niemcy wybrali dwóch nowych robotników, by bili tych dwóch robotników, co bili za słabo.

Sam przy tym nie byłem obecny, ale opowiadali mi koledzy. A jako jedzenie dostawaliśmy raz dziennie zupełną jarzynową i trzy pajdy chleba na pięciu robotników.

Odczytano.